Lwów, 26. Stycznia. №11. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się z opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

III.

Uczta weselna.

(Ciąg dalszy.)

Pan Miniecki siedział przy biórku nad listem rozpoczętym, który snać mu się nie koniecznie kleił, bo pogryzywał z lekka pióro, jakby literat jaki, który szuka przedmiotu do powieści, księgarzowi już przedanej. Na niskim stołeczku siedziała pani Miniecka koło męża, patrząc na niego z wyrazem wesołym i szyderczym nieco.

— Ale bo widzisz moja Julciu! — ozwał się pan Mikołaj, mnie się zdaje, że czy nie będzie to nadto, jeżeli dziękując za sprawunki, które on nam przysłał, zaprosimy go. On sam przysyłając tylko...

— Widocznie czeka byśmy go zaprosili.

— Trafiłaś Julciu w myśl moją.

— A widzisz mój Mikołaju! dla czegóż nie piszesz.

Właśnie ci mówiłem — odpowiedział pan Miniecki, zdziwiony nieco tą logiką kochanej Julki, logiką prawdziwie kobiecą, pełną taktyki małżeńskiej, że to będzie wyglądać jakbyśmy ciągnęli go do siebie.

— Jeżeli go ciągnie co tu, to pewnie nie my.

— Ty bo żartujesz Julciu! — odrzekł mąż nie bez uśmiechu.

— Mówmy więc seryo, i powiedz mi seryo mój drogi Mikołaju, czy mu odmówisz Moduni, jeżeli się o nią oświadczy.

— Otóż w tym sęk moja Julciu!

— Że mu nie odmówisz.

— Majętny jest, dobrze urodzony.

— I ma dobre serce!

— Dowiódł nam tego roku przeszłego. Tego mu nie zapomnę nigdy, bo i dom mi wyratował, on sam niezawodnie.

— I cieplarnię, co więcej!

— Oj ty swawolnico! z tobą nie można rozumować na serio.

— I popiekł się biedak okropnie, nie mówiąc już o tem, że się poźniej niemało osmolił przy gorętszym daleko ogniu słodkich oczów naszej Moduni.

— To wszystko prawda. Ale jego wychowanie zaniedbane.

— Czyliż nie przyznałeś sam niedawno, że się odmienił nadzwyczajnie.

— W twojem towarzystwie moja Julciu droga!

— Powiedz raczej, w twoim! będzie to mniej pochlebne dla mnie, ale więcej zgodne z prawdą.

— A potem! jego ojciec!

— A pfe Mikołaju, więc on ma pokutować za grzechy któren ten sam pokutuje już za życia, najsmutniejszą pokutą, bo stratą tego najwyższego daru opatrzności, stratą rozumu.

— Na wszystko masz odpowiedź! To nie nowina moja.

— Bo ją czerpię zwykle w twojem własnem sercu!

I nadto szczerze, nadto czule popatrzyli na siebie, by słowa te mogły być czczem pochlebstwem.

— Lecz czy nie będzie to okropnem dla Moduni, mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, którego stan umysłowy...

— Wzbudzi w jej poczciwem sercu politowanie. I czyliż Modunia co jest taką dobrą córką dla nas, nie potrafi być równie dobrą dla mężowskiego ojca, dla ojca przybranego?

— Ale!

— Jest, jest w rzeczy samej mój drogi Mikołaju, jeszcze jedno ale najważniejsze, ale które ci zwycięzko odpowie, na wszystko odpowie. Modunia kocha Piotra.

— Kocha go?

— Kocha go całem sercem i duszą.

— Jesteś tego pewna?

— Czyliż nie jestem matką, i czyliż — dodała z uśmiechem, tak jestem już oddalona od pierwszych lat szczęścia mego, abym zapomniała tych dni, w których pokochałam ciebie mój Mikołaju?

— Droga serdeczna Julciu!

— Pozwól tedy, że się muszę znać na tem, i jako matka i jako kobieta. I nareszcie czyż może być inaczej. Modunia wychowana między nami i przez nas, ma serce czułe, dotkliwe dla każdego uczucia prawdziwego. W atmosferze abym się tak wyraziła naszej miłości, umiała nabrać tego czułego serca. I jakoż nie miała się do niego całem sercem przywiązać, przeczuwając sercem, i sercem czując jego miłość dla siebie nieograniczoną, gdy naturalnie przed jej główką jeszcze młodą, nikną wszystkie inne, jakie on mieć może niedoskonałości. A że on ją kocha szczerze, kocha mocno, czyliż możemy wątpić? Pominąwszy to, że on jest zanadto naiwny, za nadto mało wychowany, czyli raczej niezepsuty wychowaniem, czyliż nie

dowiódł już tej miłości tą przemianą, jaka w nim przez ten rok nastąpiła. On co nie lubił towarzystwa, bo się w nim czuł niższym, przemógł nieśmiałość swoją, połknął nie jedną gorżką pigułkę lekceważenia, i powiedz sam mój Mikołaju, czy nie jest on dziś tak dobrze jak drudzy, w tem znaczeniu, jakie temu słowu nadają w świecie, a lepiej daleko od wielu modnie ubranych i ufryzowanych półgłówków, lepiej swą skromnością, lepiej chęcią nieustanną podobania się i kształcenia. On co lubił próżnować, czyliż teraz twojemi namowami i przykładem wiedziony, nie lubi czytać, i to czytać książki pożyteczne. Czyliż nie wziął się szczerze do gospodarstwa, i jak wiesz ten Mykita, którego ja zresztą nie wiem dla czego nie lubię, nie może się nam nagadać o jego zabiegach gospodarskich. Wiemy to nawet zkąd inąd, że dawna nienawiść jego wieśniaków do starego pana znikła staraniem syna, i że wieśniacy zaczynają go o tyle kochać o ile nienawidzili ojca. Czyliż to nie są dowody jego prawdziwej i silnej miłości. A wierz mi, i ty najłatwiej temu uwierzysz, że człowiek prawdziwej zdolny miłości, ma pewnie serce dobre, i jest do wszystkich cnót zdolny.

— Już to moja Julciu! prawdziwy z ciebie Demostenes! niema co mówić. Pozwól więc, jeszcze jeden zarzut. Czy nie za młoda Modunia jest?...

— Bardzo mi to pochlebia, że ci mój Mikołaju czas ze mną tak prędko przeszedł, że zapomniałeś zdaje mi się jako to już rok dziewiętnasty dopływa od czasu pobrania się naszego. A Modunia przecie, to nasze najpierwsze dziecko!

— Zapewne! ale nic nas przecie nie nagli!

— A jeżeli ja chcę być koniecznie babką, a ciebie na dziada wykierować.

— Piękna będzie babka z ciebie, która wyglądasz jak starsza siostra Moduni.

— W łaskawych oczach pana Mikołaja! — I potem powiesz mi mój Mikołaju, czy my gdyśmy się pobierali, nie byli młodzi, bardzo młodzi nawet! i powiedz szczerze, czyśmy mniej przez to byli szczęśliwi!

— Szczęśliwi! Julciu moja! ja byłem i jestem najszczęśliwszy!

— A jaż mój Mikołaju?

Na tym punkcie gdy stanęła rozmowa, wygrana była oczywiście przy pani Minieckiej. Lecz za to napisanie listu szło bardzo powoli, bo małżonkowie mimo dziewietnastoletniego przyzwyczajenia zaczęli się pieścić, jakby się wczoraj dopiero pobrali. Lecz gdy wszystko się na świecie kończy, więc przecież pan Mikołaj skreślił jakoś list do pana Piotra Góry, w którym dziękując mu za zrobione sprawunki, zaprasza najprzyjaźniej by odwiedził swoich w Zahorcach najszczerszych przyjaciół. A że się jakoś nawinęła panna Modesta, która już to po prostu powiedziawszy, ciągle się kręciła po pokojach, od czasu zdybania się swego z Mykitą, pani Miniecka oddała jej list do wręczenia Mykicie, i to z pewnym czułym uśmiechem, który czy Modunia zrozumiała, nie wiem, ale to pewna, że się zarumieniła po uszy, i co prędzej wybiegła z rodzicielskiej sypialni, by ukryć swoje pomieszanie. Szukając Mykity z dziwnem uczuciem wpatrywała się dziewczyna w list ojcowski, który wydawał się jej to za ciężki, to znowu za lekki, i nieobeszło się bez pokusy zajrzenia, ażali nie da się wyczytać jedno choć słówko. Szczęściem że jakoś pokusę przezwyciężyła, a i list był dobrze zwinięty i doskonale zapieczętowany, i zdybała się nareszcie z Mykitą, który stał w ogrodzie, z oczami wlepionemi w okna pokoju bawialnego. Wyraz jego twarzy w tej chwili był zamyślony, smutny nawet. Po raz pierwszy uderzyła Modunię twarz górala przystojna, napiętnowana pewną wyższością.

— Masz tu list Mykito! — ozwała się do niego.

Wzdrygnął się trochę Mykita, jakby nagle zbudzony.

— Od panienki? — zawołał z dziwnym, złośliwym prawie przyciskiem.

— To od papy mego! — odpowiedziała dziewczyna. Ale poczekaj! — dodała i wyciągnęła z fartuszka jakąś sakieweczkę małą, a z niej parę monet drobnych, i z nieśmiałością dotknęła się jego ręki, mówiąc: Za twoją fatygę mój Mykito!

A Mykita porwał za tę śliczną białą rączkę i bez myśli pewnie ścisnął silnie, lecz dostrzegłszy w niej pieniądze, puścił z rodzajem gwałtowności, aż pieniądze z dźwiękiem potoczyły się po żwirowanej ścieżce. Dziewczyna spojrzała na niego z naiwnem zadziwieniem, i przez pół chwili zdało się jej widzieć twarz Mykity, przekrzywioną łyskawicą jakiegoś złośliwego wyrazu. Lecz Mykita wnet się opamiętał, twarz jego wróciła w jednem oka mgnieniu do stanu dawnego, i wyrzekł prędko z uśmiechem:

— Przepraszam panienkę! i zebrawszy rozrzucone pieniądze oddał je Moduni z pokorą. Ja się chętnie fatygował dla panienki, na cóż mi pieniądze? są odemnie potrzebniejsi i biedniejsi.

— Ależ przecie — przerwała zakłopotana i zmieszana dziewczyna.

— Dziękuję panience! — dodał Mykita, i porwawszy znowu białą rączkę ucałował ją z pokorą. Dosyć dla mnie nagrody! — wymruknął przez zęby i odwrócił się do odejścia. Lecz nie taki to był plan Moduni, zatrzymała go więc jeszcze i ze spuszczonemi oczyma, zarumieniona ozwała się znowu.

— A odemnie... powiedz, że ja bardzo pięknie dziękuję za przysłane nuty, i... pokłoń się odemnie swemu panu!

— Dobrze! — odpowiedział Mykita prędko i pobiegł do stajni za koniem swoim. A gdy już na nim siedział i czwałem popędził do domu, cała burza wewnętrzna, burza groźna zawrzała mu w piersi, i wybiegła na twarz, i

aż mu lżej było, gdy ją wyrzucał z siebie, puszczając na wiatr urwane jakieś słowa:

— Panu! panu! a tak! a ja sługa! sługa! Wszy scy oni jednakowi! I ona chciała mnie zapłacić! bo ja sługa! Ale i dla mnie przyjdzie godzina! Ten jest panem, kto tyle silniejszy, by wroga w swoim trzymać ręku. Zobaczemy! cierpliwości Mykito! cierpliwości!

I Modunia zastanowiła się przez krótką chwilę nad dziwnem obejściem się Mykity, które niepojmowała wcale; to też wnet porzuciła tę myśl i zapomniała.

Niepotrzebujemy tedy zda się rozszerzać się już nad zmianą stosunków jakie zaszły przez rok miniony, ani też opisywać szczegółowo, jakim sposobem pomału rozkochał się nasz bohatyr w pięknej Moduni. Wiemy już że się kochają, i że rodzice nie są mu przeciwni. Nic więc dziwnego że zaraz na zajutrz, ledwie było z południa, pan Piotr pojawił się w Zahorcach na dzielnym koniu, a oddawszy go Mykicie, z bijącem sercem pobiegł do domu. A że przypadek, ten szczęśliwy jeniusz wszystkich młodych, zakochanym najczęściej sprzyja, trafiło się że pan Miniecki pojechał w pole, a pani Miniecka znużona trochę, położyła się do poobiedniego spoczynku. Oczywiście tedy, panna Modesta musiała zastąpić miejsce rodziców jako najstarsza córka, i przyjąć uprzejmie młodego gościa.

W pierwszej chwili nie wiele było rozmowy, ale za to bicia serca z obydwóch stron co nie miara. I oboje porumienili się należycie, a niewiedząc co z oczami zrobić, które choć niby uciekały to tu to tam, a przecie zdybywały się ciągle z sobą, ku większemu jeszcze pomieszaniu, spojrzeli ku oknom. To było oczywiste szczęście; bo jakoś widok słońca i zieloności, podał im myśl do rozmowy. Jakoż w jednej chwili, radzi z konceptu, wyskoczyli oboje do rozmowy, wyjąknąwszy:

— Jaki śliczny dzień!.. jaka piękna pogoda!

Naturalnym skutkiem tego szczęśliwego początku było, że się w krótce znaleźli oboje w ogrodzie, i pociągnęli ścieszką i klombami ku wierzbom nad wodą stojącym; i naturalnie znalazłszy tu się jeszcze więcej sami, podwoiło się bicie serca, podwoiły rumieńce, ale rozmowy ani rusz. I im dłużej trwało to milczenie, tem trudniej było go przerwać. Prawda że dla kochanków milczenie takie jest nader wymowne, i że kochankowie rozumieją doskonale tę wymowę milczącą, która zamyka usta, ale tem dzielniej przemawia spojrzeniami, językiem myśli wewnętrznych, które przez dziwny a zwykły wypadek kochankowie pojmują bez słowa, bo że u obojga są jedne i te same, to im dowodzi każde przypuszczone bicie serca, każdy rumieniec, każde westchnienie ulatujące w powietrze. Mowa to pełna uroku, raz tylko w życiu jawiąca się, raz pojęta nawzajem i nawzajem zrozumiała; mowa pełna poezyi, bo pełna nadziei, pełna złudzeń najcudniejszych, złudzeń wiosny życia... mowa, której nic już później nie zastąpi, i żadne nie wskrzesi usiłowanie.

Lecz im dłużej trwało to milczenie, tem trudniejszem stawało się położenie pana Piotra, który czuł, że powinien przecie zacząć rozmowę jako grzeczny kawaler, i że powinienby korzystając z chwili dogodnej, powiedzieć coś stanowczego, o czem całą przecię drogę marzył, i tak pięknie ułożył, że aż miło, a tu ani podobna sobie teraz przypomnieć, choćby jedno słowo. A co gorzej, że na widok tej koło niego idącej Moduni, tak ślicznej, tak cudownie ślicznej, zaczęła się w panu Piotrze burzyć krew młodzieńcza, i zagrały mu w piersi dawne jego gwałtowne, tyle lat żadnego hamulca niemające namiętności. Zaczynał się pan Piotr obawiać na serio, aby go nie skorciało poskoczyć nagle, porwać Modunię w swe objęcia i ucałować te śliczne, te nęcące, te różane, te wonne usteczka. Byłoby to zapewne także oświadczenie, nawet dobitne, ale przez rok miniony, o tyle się przecie wykształcił nasz bohater, iz pojął nieprzyzwoitość podobnej deklaracyi.

Szczęściem obojgu kochankom... o dziwna sympatyo serc kochających!... przyszła naraz jedna i ta sama myśl.

— Dziękuję za nóty! miała już wypowiedzieć panna Modunia, kiedy ją jakoś o pół westchnienia uprzedził pan Piotr i wyrzekł drżącym głosem:

— Czy pani podobały się nóty?..

— Dziękuję bardzo... mazurki osobliwie bardzo ładne...

— Mazurki!... powtórzył pan Piotr czerwony jak piwonia, bo dobrze pamiętał, że na tych właśnie mazurkach wymalował najstaranniej cyfrę Moduni. Już to nie nowina, że pieczenie raków, mówię tu o rakach rumieńcowych, równie ziewaniu jest nader zaraźliwe; cóż więc dziwnego, że i Modunia równym odpowiadała rumieńcem piwoniowym, a to tem bardziej, że i ona tę cyfrę doskonale sobie przypomniała.

— Grałaś je już pani?.. pytał dalej pan Piotr nieśmiale, a w duszy dałby wiele za to, by się dowiedzieć, czy zauważała i jak zauważała ową cyfrę.

— Tak!..! to jest!... z oka czytałam... i ślicznie napisana!.. wyrwały się usta Moduni, idąc za popędem myśli. Zrozumiała biédaczka, jakiego ucięła bąka, ale już go niepodobna było schwycić, spuściła więc tylko oczy jak można było najniżej, jakby chciała szpilki szukać po ścieżce.

— Czyż uważałaś ją pani! wybuchnął nasz bohatyr i ośmielony teraz jej słowami porwał ją za rękę.

— Tak!.. bo... dosyć znaczna!..

— I nie gniewasz się pani?..

— Dla czegoż!.. i to pan sam...

— Ja... sam!.. bo to cyfra!.. to najpiękniejsza!.. ró-

wnie!.. jest.. Stracił biedak głowę do reszty, i... o wielki instynkcie kochanków!.. robił przecie co mógł najmędrszego: upadł na oba kolana przed nią.

— Co pan robisz?.. zająknęła się biedaczka, i spojrzała na niego. Spojrzenie to miało być srogie i zadziwione, lecz tak się jakoś stało, że było czułe tylko.

— Bo... bo... nie jestem dłużej w stanie utaić tego... ja kocham, kocham pannę Modestę nad życie, nad szczęście, nad wszystko...

A te słowa kocham, to talizman rozwiązujący najszczelniej zamknięte usta. Jak je jedno z kochanków raz wymówi, zaczarowanie milczenia ustaje, i to słowo tak proste a pełne znaczenia, powtarza się już między kochankami bez końca, z milionowemi odcieniami przycisku, który jest dla nich tylko zrozumiałym telegrafem, prawdziwym telegrafem elektrycznym.

I między niemi tak się stało, jak się koniec końców stać musiało. Kochali się, więc się też i przyznali do tej miłości, i radowali się nią jak pierwszym objawem szczęścia najwyższego, a rozumowali i nieoględni ślepi, jak zwyczajnie kochankowie, o przyszłości zasłanej różami, bez kolców i bez końca... i z nadmiaru szczęścia i rozkoszy co impiersi tłoczyła tak lubo, tak przyjemnie, popłakali się oboje.

I tak płaczących zastali ich państwo Minieccy, którzy rękę w rękę idąc, szukali po ogrodzie gościa swego.

Lecz za nim opowiemy co się dalej stało w Zahorcach, musiemy rzucić okiem na to co się dzieje w Kryweńce z innemi naszej powieści osobami. I chodźmy najprzód na tę polankę śliczną, na której na skalistem podwyższeniu siedzącą zdybaliśmy Olankę.

A było to właśnie tego samego dnia, kiedy Mykita jeździł za sprawunkami do Zahorzec. Mimo jesieni posuwającej się coraz, więcej polanka, ta była zawsze pełna wdzięku, a może nawet piękniejsza jak w jesieni. Bo też w rzeczy samej jesień w górach, gdy przebiegnie swym tchem wietrznym i zimnym, i gaje, i skały, wszystkie te góry piękne ale jednostajne zielonością swą, urozmaicają się takiem bogactwsm barw, jakie ledwie najbujniejsza wyobraźnia wymyśleć może. I te wszystkie góry drzewami pokryte, i w rzeczy samej tak w ów czas piękne, że żaden malarz nie jest w stanie paletą swę oddać tę nadzwyczajną rozmaitość, pełną wdzięku. Widok ten jakkolwiek uroczy i malowniczy dla oka, wzbudza przecie uczucie mimowolnie smutne, ale to dla tego że za okiem idzie myśl człowiecza, obciążona wszystkiemi odczarowaniami doświadczonemi, i pełna zawsze tęsknoty za tem co minęło, mianowicie gdy to wiosna minęła i pełna zawsze smutnych przeczuć przyszłości. Bo darmo cudnemi barwami nęcone zawsze podziwiają oczy... Po za temi barwami znikomemi jak wszystko na tej ziemi, czyha na ciebie blada zima, nieodłożona, nieubłagana, którą ci każdy powiew ostrzejszy przypomina nielitościwie.

(D. c. n.)

C h o r ą ż y.

Powieść.

(Ciąg dalszy i dokończenie pierwszego ustępu.)

Było to rankiem — Zdzisław w swietlicy
Przy wąskiem oknie siadł zamyślony,
I patrzał długo w ogrodu strony
Czy gdzie z za krzewów szata dziewicy
Nie mignie biała wiadomym znakiem,
A on by do niej poleciał ptakiem.
Jemu dziś tęskno i smutno w duszy,
I serce jakoś bije żałośniej, —
A kiedy myśl nim jaka poruszy
To o pierś twardą uderzy głośniej
Jak by te piersi rozerwać chciało,
Że mu do bicia miejsca za mało.
Czegoż tak smutny chorąży młody?
Dzisiaj odjeżdża — dziś ją porzuci.
Rozkaz odebrał od wojewody, —
Odjechać musi, lecz kiedyż wróci? —
I myśl za myślą leniwo płynie,
A kiedy wspomni chwile minione,
Myśl się uroczym kręgiem rozwinie,
I rozpogodzi czoło strapione,
Niby jak pasmo barwistej tęczy
Co się śród burzy do ziemi wdzięczy! —
Maria go kocha; — to mu balsamem!
Kochać przysięgła przed Bogiem samym,
I kochać będzie — jako świat światem!......
Aleć starosta czy będzie zatem?
Bo to pan dumny na antenaty.
Ha — z ojcem jego żył on przed laty;....
Może też wiernej druha pamięci
Starosta dumę swoją poświęci,
Może pozwoli, — lecz trudno prosić:
Jeśli wyniosły w nieczułej dumie
Boleści serca pan niezrozumie;
A miał by jego pogardę znosić,
O! toby wolał niech go w swem łonie
Matka ziemica żywcem pochłonie!
Bo choć uboższy, serce ma harde;
Ono by pańską nie zniosło wzgardę, —
Choć Maria kocha, — to — ..... „chroń mię Boże
Przed tobą głowę schylam w pokorze;
Niech mię od tego anioł stróż broni!" —
Próżno się młodzian z myślami goni,
Co myśl wyleci, to wraca łzawa —
A w sercu walka toczy się krwawa,
O! bo też niema większej katuszy
Od niepewności dla młodej duszy!

Kiedy powrotu rozkaz odebrał,
Już do starosty był się pójść zebrał
I u nóg starca wyznać co czuje;
Ale myśl jakaś wciąż go wstrzymuje,
Na duszy jakaś leży zapora,
Co mu wciąż szepcze: jeszcze nie pora!
Duma i patrzy, w tem z poza drzewa
Leciuchna szata Marji powiewa;
Dziewica smukła lekkiemi kroki
Szybko przebiega ogród szeroki,
I kędy okno było Zdzisława
Między krzewami jak kwiatek stawa.

Młodzian w ogrodzie ledwie ją zoczył,
Skinął, i szybko ku drzwiom poskoczył,
Ptakiem przeleciał przez długie schody,
I już przy Marji chorąży młody.
„Już nas porzucasz?" Maria spytała,
„Pamiętaj o nas!" a łezka mała
Jasnym brylantem stanęła w oku,
Przydając pięknej Marji uroku.
A Zdzisław nato „O Mario miła!
Znajdzie się, powiedz, w świecie ta siła
Co by to serce, co w tobie bije,
Tobą oddycha, dla ciebie żyje,
Co by bez ciebie jak kwiat bez słońca
Zwiędło i zeschło w mękach bez końca;
Na chwilę mogła wyrwać od ciebie?!
Nie Mario moja! na Boga w niebie!
Na mą ojczyznę, klnę się że wrócę;...
Twojemu ojcu do nóg się rzucę,
Lecz ty mię kochaj! pamiętaj o mnie!"
I dłoń jej białą przyciskał skromnie.
A Marji w oczkach łezki stanęły
I po obliczu krasnem płynęły,
A łzy to pierwsze, czyste jak rosa
Co z gwiazd wieczornych sieją niebiosa,
Czyste, bo z serca co w młodem łonie
Szczerą miłością pierwszy raz płonie.

„Mario! bądź zdrowa! „Bywaj zdrów luby!
Niechaj cię stwórca chroni od zguby!
Powracaj do nas, a baw nie długo!"
Zdzisław jej rękę cisnął w swej dłoni
Spojrzał raz jeszcze, a potem smugą
Pomiędzy kwiaty do dworcu goni.
Przed dworcem stoi koniczek siwy,
Rwie się do biegu, rży niecierpliwy,
Czeka na pana, a pan w komnacie
Z mieczem przy boku, w podróżnej szacie
Pana starostę pożegnać spieszy.
Przyszedł a starzec ścisnął mu rękę,
I za gościnność złożył podziękę,
Polecił Bogu i świętej rzeszy,
I czystej Pannie na Częstochowie.
A potem wina kazał dać sobie,
I pił na wyjazd w szczęśliwej dobie,
Drogę szczęśliwą, pomyślność! zdrowie!

Już Zdzisław młody podwórcem goni,
Już o most twardy podkowa dzwoni.
Rumak ochoczy, lecz panu smutno;
Wstrzymuje konia wesołość rzutną,
Bo może w oknie stoi tam ona,
Może powieje biała zasłona!.....
A kiedy pędził w polu szerokiem,
Na dworzec jeszcze raz rzucił okiem,
Podumał, westchnął, wnet pole minął,
I w ciemnym lesie z przed oczu zginął.

Wieczór cichy, lubo, senno;
Wietrzyk wionął mgłą wiosenną.
A w ogródku, tam w krzewinie
Pieśń słowika łzawo płynie,
Tęskno, rzewnie,
Dźwięcznie, śpiewnie
Po gałązkach brzmi.
A śród krzewów, kwiatka boża
Tęskni, duma Maria hoża,
To po gwiazdach oczkiem wodzi,
To żar piersi rosą chłodzi;
A z jagody
Kwiat swobody
Zuikł; łza oczko ćmi.
Gwiazdki płyną po błękicie,
Szkli się rosa w ich rozświcie;
A płacząca brzózka w dali
Włos swój kąpie w modrej fali,
Smutna, miła
Skroń spuściła
Ponad bujny kwiat.
A przy brzózce, jako ona
Stoi Maria zasmucona,
I o brzozkę skroń opiera
Białą rączką łzy ociera,
Myśli cieką
Gdzieś daleko
Za kochankiem w świat.

Coś tam fala z trawką szepcze,
A po trawce wietrzyk depcze,
I całuje w skroń zieloną
Córę ziemi rozpieszczoną;
Potem zdradnie
Rosę kradnie
Z lica pięknych róż.
A przy różach, sama róża
Maria oczka do snu zmruża,
I oparła czółko w dłonie,
Wietrzyk pieści senne skronie;
Główkę schyla,
Chwila, chwila,
Dziewczę marzy już!

Mieczysław R.

Deotyma.

(Dokończenie.)

„Poezye" Deotymy nie różnią się wiele od „improwizacyj," a nawet tychże cechę noszą na sobie. Przyswojona rutyna nieopuszcza ją i tutaj, a śród głębszych myśli i większego ciepłą natchnienia, wloką się jak ciężkie kajdany za polotem jej wyobraźni zdobyte raz kształty i sposób obrazowania. Są to improwizacye pisane, najczęściej okolicznościowe, z tą tylko różnicą, że przy improwizacyach duszno nam jest przed natłokiem obrazów a ckliwo przy ustępach nihilizmu; w poezyach zaś nużą nas poglądy filozoficzne i nieprzebite chmury mistycyzmu. Swobodniejsza w polotach wyobraźnia zatrzymuje się dłużej przy pojedyńczych częściach utworu, ogląda staranniej kształty, lecz oraz przyozdabia je przecudną płaskorzeźbą najwyszukańszych alegoryj. Czytając „tajemnice owoców" mimowolnie narzuca nam się postać „Beatrice," z którą niegdyś błądziliśmy przez siedm piekieł Dantego. Ów „Grzmisław," na „błyskawicy," owa „Wiarosława," „Bogobojna," ów „Sławorój" są to urobione pojęcia i wyobrażenia filozoficzno-umnicze, jak u Dantego są filozoficzno-

teologiczne. Przeczytaliśmy te »scenę fantastyczną,« lecz prócz pięknych aforyzmów myśli, nie mogliśmy zdać sobie sprawy z całej treści tego poematu. Zdaje się, że i Deotyma przelękła się głębokością swoich alegoryj, dla tego kładzie w usta poety-młodzieńca:

O ludzie, bracia! jakże teraz z wami,
Ideał może widzialnie pozostać,
Gdy i o cudzie, mówicie, że mami?
Choćbym raz tylko był ujrzał jej postać,
Jeszczebym zwątpić nie winien na chwilę:
Bo kto raz uczuł natchnienie w swej duszy
Zginie, jeżeli zwątpi o swej sile!

Czy narzekanie, że nasze serca zatwardziałe są na wdzięki ideału, przekona nas i wpoi nam wiarę w jego istnienie? Przecież posiada Deotyma potęgę obrazowania, podniosłych myśli a nawet i uczucia! Niech nam, bez licznych alegoryj, odsłoni święte oblicze tego ideału, a my upadając na twarz, oddamy pokłon bóstwu, i uwierzymy.

Dotąd myśleliśmy, że poezya jest kwiatem ducha ludzkiego na ziemi. Deotyma stawia ją niżej. Według niej jest to

. . . . »łodyga,
»Co pączek przyszłości dźwiga;
»To ta wstęga z snu Jakóba,
»Co naturę z duchem splata;
»To jest ludów siostra droga!
»To geniuszów matka luba!
»To w czasie władczyni świata!
»To w wieczności córka Boga!....

Tak o poezyi mówi poeta — młodzieniec; lecz posłuchajmy samej »Poezyi,« co ona o sobie śpiewa:

»Z serc ziemskich w niebo wznoszę woń modlitwy błogą;
»Jeźli z nieba powracam, to z natchnienia łaską;
»Cnota jest mem mieszkaniem, a pokój mą drogą;
»Czas jest pod stopy memi, wieczność mą przepaską;
»Z gwiazdą, światła zapału w moich piersiach płoną;
»Prawda jest mem zwierciadłem, a pieśń mą koroną.

Przy tych zbyt ogólnych, z szat alegoryj utkanych ideach, jakiż jest Deotymy pogląd na obecność? I na to odpowie nam alegoryczny »Grzmisław«:

»O nieraz własne serce mnie mówiło:
»Czemu zakrwawiasz mnie w tym ciągłym trudzie,
»By świat twych myśli własną stworzyć siłą?
»Czemuż ci nie żyć tak jak inni ludzie?
»Z skarbem tradycyi i z swobodą miłą?
»Nieraz mi ziemia z rozpaczą wołała:
»»Świat idzie w otchłań, czyż twa moc go wstrzyma?
»On już się przeżył, twa nadzieja pała,
»Lecz już dróg nowych dla ludzkości niema!«
»I w końcu wołały szatany szydercze:
»»Chcesz prawdę głosić, chcesz być naszym wrogiem!
»Mylisz się, duma wnet wstąpi w twe serce
»Kto chce świat zmieniać, ten się mierzy z Bogiem!«

Na czemże w swych chęciach poprzestaje mówiący? Oto mając silną wiarę w przyszłość

»Możesz obecność mieć za obojętną?
»Czyż świat ma skonać u nadziei progu,
»Gdy na nim leży odkupienia piętno?
»Czyż kto świat kształci, nie pomaga Bogu?...

W »krucyatach« powtarza się ta sama idea, tylko jaśniej i zwięźlej. Mówiąc o krucyatach i o tych momentach przeszłości, które ducha krucyaty w innej tylko szacie wyrażały, zwraca na przyszłość wieszczą źrenicę, i widzi tłumy krzyżowników, lecz bez wodza i bez szyków, a każdy nowym apostołem... lecz gdzież cel tej bezbronnej pielgrzymki? Czy grób Jerozolimski?... Nie, — bo

»Dziś cały świat w swym ogromie
»Stoi jak grobowca ściany,
»Gdzie Chrystus ukrzyżowany
»Wciąż spoczywa niewidomie...
»Lecz hufiec przyszłych rycerzy
»Jak biały anioł przybieży,
»I kamień strąci na grobie,
»Aby w trzeciej wieków dobie,
»Jako trzecie prawdy zorze,
»Zmartwychwstało słowo Boże!...

Główna myśl, która utworom Deotymy przewodniczy, jest mysl religijna, przeczucie, odrodzenie społeczności przez wiarę i przez powrót do Boga. Myśl ta, aczkolwiek wzniosła i wiecznie świeża, nie jest bynajmniej nową. Ośmnaście wieków przed nami tą samą myślą pałało młode chrześciaństwo, w tej myśli pisali ojcowie kościoła i dzisiaj jest ona głównym tematem nauki religijnej. Tworzy ona niezmazane tło wychowania chrześciańskiego, i odbija się na każdej fali wyższego uczucia. Lecz myśl ta jest ogólnikiem niejasnym, nieokreślonym, brak jej treściwego zformułowania. Takie szerokie, ogólnikowe pojęcia czytają się wprawdzie przyjemnie, bo indiwidualność czytającego napełnia ją treścią i znaczeniem według szczegółowych swoich wyobrażeń. Idea zbyt ogólnie określona, ileż różnych od siebie nie znajdzie wykładaczy? Jasność, szczegółowość i zwięzłość cechują mistrza, jak równie rozgatunkowanie myśli ogólnikowej, i jasne wyrobienie w jej pojedyńczych rozłogach.

Deotyma w swoich utworach najsilniejszą jest w fantazyi. Jestto zarazem najsłabsza jej strona. Czuje, myśli, uczy się i oddaje naukę — fantazyą. Zdaje się, że rzucone w jej umysł światło nauki i umiejętności, nie przebiło się do głębi ducha, tylko zawisło na szybach rozognionej fantazyi, i dziwnie poetyczne nakreśliło obrazy. Dla tego nauka i umiejętność odtwarza się na tym gorącym kryształe w dziwnie piękne i idealne arabeski, jakby wyjęte z przecudnego panorama. Z tąd to zimno; te chłodne, przez szkło fantazyi puszczone obrazy. Najściślejsza nauka ma u niej szatę fantastyczną; pogląd na społeczność, na historyą, na rozwój ducha ludzkiego w czynach i kształtach, jest zawsze różowy, jak szyba jej fantazyi, niewinny i naiwny jak uśmiech dziecięcia, nieodpowiedni pojęciom wyrobionym w życiu rzeczywistem. Są to znaki i tony, dla bardzo małej liczby zrozumiałe, bo im brak szat ludzkich, bez których mogły się wprawdzie obejść pierwsze istoty raju, lecz które po upadku, dla rodu ludzkiego stały się koniecznością. Poezye Deotymy wydają nam się

prawdziwie jak te dwoje pierwszych szczęśliwych istot w ogrodzie rajskim, gdy jeszcze niestanęły przed drzewem poznania. Deotyma nie zna siebie, i dla tego nigdzie się nie odwzorowała. Może ujrzemy ją, gdy opuści rozkoszny park Edenu, a ujrzymy ją wtedy pośród nas, w naszych szatach, z naszym dźwiękiem. Wtedy ją lepiej pojmiemy, bo w jej tonach usłyszymy głos naszej duszy, naszego serca. W słowach jej, aczkolwiek w nowych kształtach, poznamy to, co pół-senne a niezbudzone, uczute a nieokreślone, w naszem łonie nas niepokoiło, i z radością przylgniemy do tego, co nam żywcem z pod serca wyjęto. Ale Deotyma musi żyć na ziemi, musi rzucić krainę krzyształowych pryzmatów, gdzie się duch oblał blaskiem dla nas nie zrozumiałym, i krainę czczej abstrakcyi, po której z wielkim naszym smutkiem oprowadza ją Szelling! Musi porzucić obłoczne szaty nihilizmu, i przesłonę wygórowanej symboliki, i przemówić do nas temi wdziękami, które zdobią ducha ludzkiego na ziemi. Wszak poezya nie jest odrębną krainą mgły i eteru, ale jest rozgraniczem tych dwóch światów, gdzie w jeden anielski dźwięk łączy się duch i to, co go na ziemi przyobleka.

Skreśliwszy pobieżnie ujemną stronę utworów Deotymy, kilku rysami dotknęliśmy także jej zalet pełnych przyszłości, i na tem poprzestajemy, czekając dalszego rozwoju tego wielkiego poetyckiego talentu. Co do dramatycznego zawodu, w którym Deotyma, jak to z rapsodu „Stan. Ludomirski" umieszczonego w pismach czarowych dowiadujemy się, sił swoich spróbowała, już dzisiaj powiedzieć możemy, że prócz kształtów i zwrotów Getego, które cechują monologi Fausta, nie wiele widzimy dramatyczności, i zdaje się, że to pole nie jest jej właściwem. Powtarzamy jeszcze raz, że jesteśmy dotąd w oczekiwaniu wielkiem, czem tak potężny talent, jakim jest Deotyma, obdarzy nas w najbliższej przyszłości. Ażeby zaś ten „pierwszy owoc między pierwszemi« dojrzał do uroku natchnienia i potęgi, nietrzeba go zrywać w półrozwoju dla kapryśnych zachceń admirującego towarzystwa, ale ukryć w święte zacisze łona, ogrzać go ciepłem duszy i serca, przez co rozwinięty w kształt dotąd nieznany, mógłby olśnić źrenicę śmiertelnych, i ich serce ku sobie pociągnąć.

Artystyczne wyrobienie formy, przechodzi w jej utworach często doniosłość samej idei, i to jest co w pierwszej chwili, unosi zdumiałych słuchaczy a nawet i czytelników. Wzór tego mistrzowskiego zaokrąglenia formy widzimy w «Modlitwie."

Przedmioty poezyi są! Krucyaty — Pielgrzym — Widzenie majowe — Modlitwa — Franciszka Rimini, obraz Ary-Schaeffera — Burza w pustyni — Wieńce — Sen — Podróżni — Tajemnice owoców — Ptak niebieski — Wspomnienie trzech obrazów pędzla J. Suchodolskiego — Kosarz — Do Ant. Kątskiego — Niedziela — Dar Bogów — Malarki — Potęga pieśni — Natchnienie — Druk. —

Jan Zachariasiewicz.

Teatr.

Wiersz

na cześć występu pani Aszpergerowej po dłuższej nieobecności na scenie tutejszej.

Witaj nam! witaj sceny królowo!
Dzisiaj po tylu chwilach milczenia,
Znowu zachwycasz nas grą wzorową,
Ożywiasz uczuć stłumione tchnienia.

Smutek nad Twoją nieobecnością,
Jak mgła jesienna ciężył nad nami,
Dzisiaj Twój widok błysnął jasnością,
Rozpędził chmury nad kulisami.

Złość i nierozum, w ciemniach brodzące,
Darmo rzucały rażącym wrzaskiem
Przemówił jeniusz! gady syczące
Jako noc znikły przed słońca blaskiem.

A więc raz jeszcze bądź pozdrowiona
Pierwsza mistrzyni w sceny zawodzie!
Pojęciem wyższem sztuki natchniona,
Cudna ozdobo w naszym narodzie!

g. o. a.

Odpowiedź na korespondencyą z Krakowa z dnia 12. stycznia.

W usprawiedliwieniu nowego przedsiębiorcy w Krakowie, korespondencya w numerze 7 „Nowin" zamieszczona, zgadza się na niepodobieństwo zebrania aktorów dla sceny polskiej przez p. Megerle — widzi przyczynę tego w niedostatku artystów polskich — w mniemaniu: że utalentowani, z Warszawy i Lwowa nie zgłoszą się — oraz w nieporozumieniach między byłym i obecnym przedsiębiorcą, jakoby z winy pierwszego wynikłych. — Zdaje się, że korespondent gdzie indziej szukać powinien przyczyny, i raczy pomnieć że w r. 1840 powtórnie w roku 1849 i w r. 1852 były przedsiębiorca trzykrotnie obejmował dyrekcyą sceny polskiej w Krakowie, i zwykle w porę, kiedy ta zupełnie podupadła lub całkiem nie istniała, a zawsze umiał wyszukać artystów. Ostatecznie zaś, do chwili pojawienia się p. Megerle, będąc dyrektorem teatru polskiego, przyjął nawet obowiązek zaprowadzenia opery niemieckiej; i jak scena polska odznaczała się zawsze utalentowanemi artystami, jakiemi byli pp. Tomaszewicz, Królikowski, dwaj Chomińscy, Linkowski, Rychter, Monikowski, Zenopolski, Karsznicki, Kaliciński, Linkowska, Grochowska, Palczewska, Pique, Chełmicka, Radzyńska i Szuszkiewicz, tak również, i opera niemiecka złożona z dwóch pierwszych śpiewaczek (Reus-Gaudelius, Kreissel) trzech drugich śpiewaczek (Grimberg, Rademacher, Witzemann) trzech tenorów (Schirman, Rademacher, Prelinger) dwóch basso (Draxler, Baumann,) dwóch barytonów (Bohrer, Maisner), oraz z 24 członków do chórów i trzech kapelmistrzów, i że ten komplet całej opery nie zaliczał się do podrzędnych, opinia publiczna już oceniła.

Jeżeli więc były przedsiębiorca zawsze zebrał aktorów polskich, a nawet operę niemiecką w całym komplecie, i to, na dwa miesiące przed zakreślonym terminem zgromadził; a dzisiejszy, mając od 1. grudnia 1853 r. tenże sam obowiązek, gdyby jednak dotąd jeszcze pierwszej śpiewaczki do opery nie miał, a sceny polskiej całkiem nieutrzymywał (jakto sam korespondent wyraża) nie można z tąd wnosić, jakoby aktorów polskich w kraju, lub śpiewaczek w Niemczech już zabrakło; lecz że nowy przedsiębiorca zobowiązaniu swemu zadosyć by nie uczynił, i że, jeśli ten nie ma rzeczywiście środ-

ków zaprowadzenia sceny polskiej w Krakowie, wypadałoby z porządku rzeczy radzić, aby ustąpił dyrekcyi takiemu, który te środki posiada, bo inaczej poprzestając na tem, byłoby mniemanie: że korespondentowi nie zależy aby scena polska exystowała, byle figurował sam tytuł jej dyrektora. Kiedy zaś przeciwnie, wysoki rząd przewidując niemożebność połączenia dwóch dyrekcyj w jednej osobie, w publicznie ogłoszonym konkursie o przedsiębiorstwo, postanowił na ten wypadek teatr polski powierzyć oddzielnemu entreprenerowi i gdyby się okazała potrzeba nowego konkursu na odłączne utrzymywanie sceny polskiej, znajdą się bez wątpienia przedsiębiorcy, do których i ja się liczę, a niepodobieństwo sprowadzenia aktorów polskich jużby ustało. Takie to są nieporozumienia, między byłym i nowym przedsiębiorcą sceny polskiej w Krakowie, o które pierwszy potępiony przez korespondenta nieoględnie, dla czytelników »Nowin« wyjaśnić był zpowodowany.

A. T. Chełchowski dyr. teatr. pols.

Rozmaitość.

Z ostatniego pobytu **Jego Cesarskiej Mości** w Monachium opowiada Dziennik Akwisgrański następujące zdarzenie: Cesarzowi Jego Mości gdy przechadzał się jednego dnia sam jeden po ulicach Mnichowa zgasło cygaro. Od przechodzącego szeregowca bawarskiego zażądał ognia. Zapalając cygaro, rozpoczął Cesarz z żołnierzem, rodem z Szwabii, rozmowę, i tak Cesarzowi Jego Mości podobała się prostoduszność żołnierza, iż śród rozmowy kilka ulic z nim przeszedł. Gdy przechodzili koło zegarmistrza, rzecze Najjaśniejszy Pan do żołnierza: Wstąp ze mną do sklepu i wybierz sobie zegarek. Na to zagadnienie odskoczył żołnierz, podejrzywając iż ma przed sobą jakiegoś republikanina, który go darami przekupić chce. Ja ani za zegarek, rzecze, ani za żadne pieniądze przysięgi i wierności dla króla nie naruszę! — Nie bój się i pójdź ze mną — odparł nieznajomy mu — wszak Cesarz austryacki nie odwiedzie cię od wierności dla twego króla! I weszli do sklepu. Cesarz pięknym złotym zegarkiem obdarzył szeregowca.

Załączone dla abonujących na **mody męskie**, rysunki przedstawiają formy krojów w naturalnej wielkości z ośmiu rozmaitych sukien. Krojów kurtek dla chłopców od lat 6-12 jest cztery, wedle rozmaitej wielkości. Potem jest dwie formy krojów na dwa surduty wierzchnie watowane, najmodniejsze teraz i na dwa fraki odmiennej wielkości. Paletoty wolno leżące, nie bardzo przypadające do stanu i do kolan sięgające, wchodzą teraz bardzo w modę. W pracowni krawieckiej pana Bałutowskiego widzieliśmy modny frak jaki w poprzednim opisaliśmy numerze i paletoty podług opisanych patronów robione. Ubiory te wierzchnie nie równie są wygodniejsze, od używanych dotąd krótkich i dosyć obcisłych. Wyglądają poważniej i dostatniej, a co najważniejsza iż stósowniejsze są do naszego klimatu.

W krótkim czasie (na dochód p. **Józefy Radzyńskiej**) przedstawiony będzie po raz pierwszy dramat w 7. aktach a w 8. obrazach, z francuzkiego p. p. Anicet-Bourgeois, i Michel Masson przez Jana Nep. Kamińskiego dla tutejszej sceny przełożony, p. n. **Podrzutki.**

Szarada.

Pierwsza z trzecią, skarb naszej ojczyzny,
Druga z trzecią, te skutkami blizny.
Druga zaś z pierwszą, tak się chodzi z biedy,
Wszystkie wraz, noszą panowie i żydy.

Znaczenie szarad poprzednich: **1. Batory. 2. Kapusta. 3. Szarada.**

Przyjechali dnia 23. 24. i 25. do Lwowa:

PP. Backhaus Henryk dzierz. dóbr., z Lelechówki. Gumowski Teofil zarz. dóbr, z Bereźnik. Ludwig Frydryk dzierz. dóbr, z Brzeżan. Niezabitowski Napoleon właśc. dobr, z Nakła. Prygodzki Feliks dzierz. dóbr, z Żółkwi. Tergonde Teodor właśc. dóbr, z Łoziny. Wiśniewski Piotr dzierz. dóbr, z Tarnopola.

PP. Andrzejewski Piotr c. k. radzca gub. i starosta z Złoczowa. Augustynowicz Bolesław właśc. dóbr, z Rzeszowa. Brzežani Maurycy wł. dóbr, z Konczak. Chwalibóg Jan wł. dóbr, z Lipowiec. Czajkowski Walerian dzierz. dóbr, z Nadycza. Dulska Domicela wł. dóbr, z Tarnopola. Glixelli Julian wł. dóbr, z Glinian. Głogowski Artur wł. dóbr, z Bojaniec. Gniewosz Józef wł. dóbr, z Przemyśla. Korytowski Stanisław wł. dóbr, z Horożanki. Kozicki Aleksander właśc. dóbr, z Zaleszczyk. Krasiński Piotr hr. i wł. dóbr, z Stratyna. Łączyński Hipolit wł. dóbr, z Liska. Laskowski Maksymilian zarz. dóbr, z Lipnik. Lewicki Józef wł. dóbr, z Bonowa. Lewicki Szczepan gr. k. pleb., z Tarnopola. Papara Antoni Zygmunt wł. dóbr, z Żółkwi. Rozwadowski Leon mand., z Przemyśla. Izabela księżna Sanguszkowa. z Rossyi. Tenczarowski Tomasz dzierz. dóbr, z Brzeżan. Tymiecki Erazm zarz dóbr, z Złotnik. Weinfeld Józef c. k. komis. cyr. z Żółkwi. Wysocki Florian wł. dóbr, z Hrehorowa.

PP. Cywiński Zenon wł. dóbr, z Dubia. Drzewiecki Józef wł. dóbr, z Rymanowa. Gołębiowski Feliks zarz. dóbr, z Bilinki. Kosiński Edward wł. dóbr. z Jurz. Karnicki Teodor hr, z Michałowic. Popiel Michał dzierz, dóbr, z Jaśnisk. Zeleński Wiktor hr. i wł. dóbr, z Krakowa. Ziołecki Piotr mechanik, z Uherec.

Wyjechali dnia 23. i 24. stycznia ze Lwowa:

PP. Drusiewicz Karol dzierz. dóbr, z Adamówki. Kolesiński Józef dzierz. dóbr, z Krosna. Nikorowicz Karol wł. dóbr, z Kochanówki. Jan Sznajder wł. dóbr, z Derewacza.

PP. Lang Ignacy wł. dóbr, z Wolicy. Płocki Józef wł. dóbr, z Janczyna. Płocki Konstanty dzierz. dóbr, z Marienpolu. Romański Wincenty komornik z Rohatyna.

Lwów 25. stycznia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 17 złr. 30 kr. do 20 złr. 30 kr. — Żyta po 14 złr. — kr. do 15 złr. 30 kr. Jęczmienia po 11 złr. 30 kr. do 12 złr. 15 kr. Owsa po 7 złr. 45 kr. do 8 złr. 24 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 14 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 9 złr. 45 kr. do 10 złr. Sąg drzewa bukowego 27 złr. 30 kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. — kr. do 2 złr. 30 kr. — Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 2 złr. — kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 25. Stycznia,	gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 48	złr. 5	kr. 52.
Dukat cesarski	» 5	» 52	» 5	» 56.
Półimperyał zł. rosyjski	» 10	» 10	» 10	» 14.
Rubel srebrny rosyjski	» 1	» 58	» 1	» 59.
Talar pruski	» 1	» 49	» 1	» 51.
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	» 28	» 1	» 29.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	» 90	» 28	» 90	» 45.

Kurs telegraficzny z Wiednia 25. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam $106\frac{1}{2}$. Augsburg $126\frac{5}{8}$. Frankfurt 126. Hamburg $93\frac{1}{4}$. Liwurno $122\frac{3}{4}$. Medyolan 123. Genua. – Londyn 12. 17. Marsylia 148. Paryż 148. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 26. Pożyczka 5% $90\frac{5}{8}$. $4\frac{1}{2}$ $80\frac{3}{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1324. Kolej północna 2315. Obl. ind. 5% —.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**